

# Cinkciarze z rządu

29 czerwca 2010

Niech żyje złoty! Niech szczerze euro!

Mamy dużo szczęścia, że Tusk i Rostowski nie zrealizowali planu wprowadzenia w Polsce euro, który to pomysł ogłosili we wrześniu 2008 r. – w najbardziej fatalnym momencie, jaki tylko można sobie wyobrazić. W myśl „europlanu” mielibyśmy już w 2012 r. zarabiać w euro. Dziś nikt mający dobrze w głowie nie narzeka, że zamiar szybkiej „euroizacji” się nie powiódł.

Drogę do euro wytyczoną przez platformersów zagroził globalny kryzys finansów. Nie bylibyśmy „zieloną wyspą” na mapie Europy, gdyby rząd w zeszłym roku zdołał wepchnąć Najjaśniejszą do walutowego „czyszcza”, jakim jest system ERM 2, czyli 2-letnie sztywne powiązanie kursu krajowej waluty z euro. Gospodarki bałtyckich tygrysów – Litwy, Łotwy i Estonii – ucierpiały w zeszłym roku m.in. dlatego, że zanim wybuchł kryzys, weszły do ERM 2. Wskutek tego nie mogły dewaluacją waluty ratować konkurencyjności własnych gospodarek. Jak podał „The New York Times” z 18 maja, państwa bałtyckie będą teraz potrzebowały ok. 8 lat, by wygrzebać się z recesji.

Taką cenę zapłacą za bilet wstępu do Europejskiego Obszaru Walutowego. System ERM (European Exchange Rate Mechanism; Europejski Mechanizm Kursów Walutowych) to system polityki kursów walutowych, w którym trzeba obowiązkowo tkwić przez 2 lata przed wstąpieniem do strefy euro.

Kilku znamienitych ekonomistów, a wśród nich Joseph Stiglitz, przewrotnie rozszyfrowało skrót ERM jako Eternal Recession Mechanism, czyli Mechanizm Wiecznej Recesji. Tragiczne położenie, w jakim dziś znalazła się Grecja, oraz kłopoty Irlandii, Hiszpanii i Portugalii pokazują, że państwa od paru dobrych lat zakorzenione w strefie euro mają w sytuacji zawirowania na rynkach finansowych bardzo zawężone pole

manewru gospodarczego. Gorzej znoszą kryzys i trudniej im wychodzić z recesji. Nie mając bowiem własnego narodowego pieniądza, nie mogą sięgnąć po narzędzie kontrolowanej dewaluacji, nie mają wpływu na wysokość stóp procentowych itp. Dla podtrzymania konkurencyjności swych gospodarek muszą więc sięgać po instrument, który ekonomiści nazywają „dewaluacją wewnętrzną”. Polega to na obniżaniu realnych płac i emerytur oraz na drastycznym obcinaniu wydatków socjalnych.

Noblista Paul Krugman ocenia, że członkostwo w strefie euro zamieniło się w ciasną pułapkę z chwilą, gdy nadszedł globalny kryzys finansowy i wpływy budżetowe zmalały, a deficyty budżetowe poszybowały w górę. W lutym Krugman na łamach „The New York Timesa” przekonująco wykazał, że Grecja czy Hiszpania byłyby w lepszej sytuacji, gdyby były poza strefą euro.

Premier Donald Tusk 6 maja roztropnie oświadczył, że na razie nie jest jego priorytetem budowanie kalendarza wejścia Polski do strefy euro. W parę dni później minister Jacek Rostowski wskazał na rok 2015 jako możliwą datę wejścia Polski do strefy euro. Natomiast „rekiny” polskiej finansjery najwyraźniej uznały, że deklaracje Tuska i Rostowskiego są niewystarczające, a ogłoszony zarys planu jest mało ambitny, należy więc platformersów zmobilizować do szybszego działania. Przedsiębiorcy z Business Center Club wyrazili zaniepokojenie ociąganiem się rządu. Polska Rada Biznesu również chciałaby popchnąć Tuska i Rostowskiego do działań przyspieszających wprowadzenie w Polsce euro.

Janusz Jankowiak, ulubieniec mediów zorientowanych „reformatorsko”, powiedział PAP-owi, że niektórzy biznesmeni zrzeszeni w PRB są nawet gotowi zaakceptować spowolnienie gospodarki na cenę szybkiej „euroizacji”.

To żałosne, że lobbyści biznesowi okazali się ślepi na to, co się dzieje w europejskich finansach, i są głusi na ostrzeżenia renomowanych ekonomistów amerykańskich oraz europejskich, którzy pokazują, że europejski wspólny obszar walutowy jest

tworem poniekąd sztucznym, opartym na słabym fundamencie jednorodnej polityki fiskalnej i gospodarczej. Warszawscy biznesmeni w najmniej stosownym momencie wzięli się za poganianie rządu, aby szybciej parł do zmiany złotówki na euro.

Wygląda to tak: w Warszawie organizacje biznesmenów wzywają rząd do przyspieszenia „euroizacji”, a jednocześnie w Berlinie kanclerz Angela Merkel ostrzega, że euro może po prostu nie przetrzymać kryzysu i zniknąć, zaś Europejska Unia Walutowa może się rozlecieć. Euro jest w niebezpieczeństwie – ostrzegała pani kanclerz, nie mając na myśli turnieju piłki nożnej...

Kogo jak kogo, ale ministra Rostowskiego nie potrzeba popychać ani specjalnie mobilizować do wejścia na drogę „euroizacji”. W latach 2000-2001 – w czasie gdy Polska nie była nawet członkiem Unii Europejskiej – Rostowski wraz z Andrzejem Bratkowskim wzywał na łamach „Gazety Wyborczej” i „Polityki”, aby Najjaśniejsza jednostronnie wprowadziła euro. Dziś Rostowski wolałby zapomnieć o tej ułańskiej fantazji, mówi bowiem: Dobrze, że nie mamy w Polsce euro („Dziennik Gazeta Prawna” z 14-16 maja). Ale z wielu innych jego oficjalnych wypowiedzi wynika wyraźnie, że nadal jest zwolennikiem unii walutowej. Zresztą nie może zajmować innego stanowiska, gdyż jako minister musi respektować warunki traktatu, na jakich weszliśmy do Unii.

Jeśli euro nie padnie, co pewnie nie nastąpi, Polska wcześniej czy później będzie musiała pożegnać się ze złotym. Najjaśniejsza bowiem – inaczej niż Dania i Wielka Brytania – nie zastrzegła w traktacie akcesyjnym możliwości pozostania przy narodowym pieniądzu. Nie ma jednak żadnego powodu, aby rząd się spieszył z pochówkiem złotówki. Rostowski rozumuje racjonalnie, że nie ma powodu, aby się pośpiesznie wprowadzać do domu, który jest w remoncie. Ministrowi trzeba zaliczyć na plus, że pod wpływem okoliczności wycofuje się z wcześniejszych księżycowych koncepcji.

Natomiast autorytety neoliberalizmu, profesorowie Leszek Balcerowicz, Witold Orłowski, Jan Winiecki oraz Janusz Jankowiak, którzy wespół z tuzami polskiego biznesu poganiają rząd Tuska w kierunku „euroizacji” pieniądza, zachowują się jak lemingi.

Autor: Henryk Schulz

Źródło: [„Nie” nr 22/2010](#)